



## Twój syn będzie Niemcem, czyli nowy Lebensborn (Dein Sohn wird Deutscher, Neuer Lebensborn)

© [Gazeta Wyborcza](#) - / 03.11.2003

Marcin Maslowski 03-11-2003, ostatnia aktualizacja 30-10-2003 12:21

Gdyby Mirosław Kraszewski zobaczył się z synem, nie mógłby powiedzieć: "Kocham cię", tylko "Ich liebe dich". Niemiecki sąd zabronił mu rozmawiać z Filipem po polsku

Ostatni raz Mirosław Kraszewski widział się z Filipem 7 maja, w jego dziewiąte urodziny. Nielegalna czterominutowa rozmowa w drzwiach mieszkania w Guetersloh. - Andrea była wyrozumiała. Mogła wezwać policję, ale tego nie zrobiła - mówi ojciec.

### **Odwiedzin też zakazał**

Film trwa niecałe cztery minuty. Kraszewski podchodzi do drzwi. Puka. Filip - drobny, szczupły chłopiec - rzuca mu się na szyję. Odbiera prezenty - maskotki, kolorowe czapeczki bejsbolowe. Ojciec przytula go i całuje. Andrea Kraszewski nie wpuszcza męża do domu, oparta o drzwi obojętnie obserwuje powitanie. Rozmowa między ojcem i synem (po niemiecku) toczy się na ganku. Filip uśmiecha się, co chwilę przytula się do ojca. Wreszcie, przywołany przez matkę, niechętnie wraca do domu. Kraszewski odchodzi. Wcześniej zdążył jeszcze wręczyć żonie list z życzeniami dla syna.

Operatorem kamery był znajomy adwokat Mirosława. Kraszewski film z tej wizyty ogląda często. Kamerę kupił, by utrwalić, jak Filip rośnie. Teraz kasety z nagraniami to jedyna okazja, by "widywał" syna.

### **Pielęgniarka, lekarz i syn z polskim paszportem**

Pół roku temu w redakcji zjawiał się dobrze ubrany, postawny mężczyzna. Przyszedł w sprawie włamania na działkę jego matki w podlódzkich Grotnikach. Specjalnie po to przyjechał z Niemiec, gdzie mieszka od lat. Wychodząc, spytał mimochodem: - Słyszał pan kiedyś, by sąd zabronił dwóm Polakom rozmawiać w ojczystym języku? To właśnie spotkało mnie i mojego syna.

Tak poznałem Mirosława Kraszewskiego, któremu od trzech lat nie wolno mówić do syna po polsku.

Ma 51 lat, urodził się w Łodzi. Tu skończył medycynę. Do Niemiec wyjechał w 1981 roku, tuż po dyplomie, kilka miesięcy przed wprowadzeniem stanu wojennego. - Miałem trochę pieniędzy i znajomych, którzy pomogli mi w pierwszych miesiącach. PóŹniej dostałem azyl. Po pewnym czasie nostryfikowałem dyplom i zacząłem pracę jako radiolog - wspomina.

Przez dwa lata pracował w klinice w Dortmundzie. Coraz lepiej mówił po niemiecku, dorabiał się. W 1985 roku dostał propozycję dobrze płatnej pracy w szpitalu w Guetersloh, niewielkim, zamożnym mieście w Nadrenii Północnej Westfalii, kilkadziesiąt kilometrów od przemysłowego Bielefeld. Tam poznał pielęgniarkę Andreę. Pobrali się. W 1994 roku urodził się Filip.

Od początku był wychowywany w dwóch kulturach - polskiej i niemieckiej. Został ochrzczony w Kościele katolickim, do którego należą obie rodziny. Gdy był mały, przyjeżdżał z rodzicami do Polski. - Andrea chciała zobaczyć moją ojczyznę. Byliśmy nad Bałtykiem, w górach. Zwiedziliśmy Kraków, Wieliczkę. Żona zobaczyła też Oświęcim. Bardzo to przeżyła - opowiada Kraszewski. - Gdy Filip podrośł, wyrobiłem mu polski paszport. Przyjeżdżał ze mną na wakacje do połódzkich Grotnik. Świetnie mówił po polsku. Moja rodzina go ubóstwia.

### **Robi z niego polską małpę**

Tylko rodzice Andrei od początku byli przeciwni małżeństwu. Na obiady zapraszali córkę i wnuka. Zięcia ignorowali. - Przeprowadziliśmy się do niewielkiego miasteczka pod Duisburgiem, daleko od teściów - opowiada Kraszewski. - Znalazłem pracę w miejscowym szpitalu, awansowałem na zastępcę dyrektora, zaczęło nam się lepiej powodzić. Do czasu. Stary dyrektor poszedł na emeryturę, a nowy nie chciał ze mną współpracować. Przestałem być zastępcą, obniżono mi pensję o 2 tys. marek.

Z tego powodu Andrea wyprowadziła się z Filipem do rodziców. - Odwiedzałem syna, ale teściowie nie chcieli, by Filip rozmawiał ze mną po polsku. "Robi z niego polską małpę!" - krzyczał teść. "Jesteśmy w Niemczech, więc mów po niemiecku" - mówiła teściowa. Teściowa była Ślązaczką, po wojnie uciekła z Polski do Niemiec.

W 1999 roku Kraszewscy byli już w separacji. Mirosław mieszkał w Duisburgu, Filip rzadko odwiedzał ojca. W styczniu 2000 roku doszło do kłótni między jego rodzicami. Kraszewski pamięta, że żona i Filip odwiedzili go w Duisburgu. "Od tej pory koniec mówienia po polsku" - miała wtedy powiedzieć Andrea. Kraszewski spytał syna, czy chce z tatą rozmawiać po polsku. "Tak" - powiedział Filip.

- Matka uderzyła go w twarz, po- pchnąłem żonę. Upadła. Zakazała mi odwiedzin dziecka. Oddałem sprawę o opiekę nad dzieckiem do sądu, ona zrobiła to samo.

### **Syn na dwie godziny i tylko z urzędnikiem**

Wyrok zapadł 12 czerwca 2000 roku. Sąd okręgowy w Guetersloh postanowił, że ojciec może widywać Filipa, ale tylko co dwa tygodnie, tylko przez dwie godziny i tylko w pomieszczeniach Niemieckiego Związku Ochrony Dziecka. Dlaczego właśnie tak? Tego w uzasadnieniu nie ma.

- Nie to było najgorsze - opowiada Kraszewski. - Sąd uznał, że u Filipa "ze strony lekarzy stwierdzono opóźnienie w rozwoju mowy i jest rozsądne, aby zaniechać dwujęzycznego wychowania". Byłem w szoku. Przecież to czysty nazizm! Nie przyjąłem niemieckiego obywatelstwa, a Filip ma polskie. A jednak niemiecki sąd zabronił mi rozmawiać z synem w ojczystym języku! Nie było żadnego uzasadnienia, żadnej lekarskiej opinii - Kraszewski pokazuje dokumenty. - Nie znalazłem w niemieckim orzecznictwie czegoś podobnego.

## **Dwujęzyczność pomaga w rozwoju**

Sędzia Izydor Reksć, przewodniczący I Wydziału Cywilnego Sądu Okręgowego w Łodzi, również nie spotkał się z takim wyrokiem. - Jestem zszokowany. Orzekam w sprawach rodzinnych od kilkunastu lat i nie natknąłem się na podobne orzeczenie. Zastanawiam się, czy taki wyrok miałby moc prawną w Polsce, gdyby ktoś wystąpił o jego uznanie. Raczej nie, bo byłby sprzeczny z polskim porządkiem prawnym. - Filip przez sześć lat był wychowywany dwujęzycznie. Rozmawiał po polsku ze mną, z moim kuzynem, który jest jego chrzestnym, i moją mamą, gdy odwiedzali nas w Niemczech - opowiada Kraszewski. - Oglądał polskie dobranocki na TV Polonia, babcia czytała mu do snu polskie bajki, chodziliśmy do kościoła na polskie msze. I nagle koniec.

Czy rzeczywiście rozmowa w języku polskim może zaszkodzić dziecku?

Kraszewski postanowił odwołać się od wyroku. Poprosił też o opinie biegłych z Polski i Niemiec.

Po rozmowie z Filipem opinię wydał (w paŃdzierniku 2000 roku) dr Jan Majer, dyrektor Kolegium Języków Obcych Uniwersytetu Łódzkiego, językoznawca. Filip porozumiewał się po polsku bez żadnych problemów. Mówił zresztą biegle w obu językach - wspomina dziś dr Majer. - W fachowej literaturze od lat panuje przekonanie, że dwujęzyczność wręcz pomaga w rozwoju intelektualnym i społecznym. Nigdy nie spotkałem się z odmienną opinią. Aż nie chce mi się wierzyć, że taki wyrok zapadł w Niemczech, gdzie wielonarodowość w porównaniu z Polską jest olbrzymia.

Miesiąc później opinię wydała profesor Hedwig Amorosa, lekarz psychiatra pracująca z dziećmi i młodzieżą w klinice Heckschera w Monachium: "Dwujęzyczność jest zjawiskiem raczej normalnym niż szczególnym. Połowa ludności świata jest dwujęzyczna. Zakłócenia w rozwoju mowy nie pozostają w związku z dwujęzycznością".

Kilka miesięcy potem kolejną opinię przedstawiła na prośbę Kraszewskiego dr Marion Hermann-Roettgen, logopeda i specjalista od języka ze Stuttgartu. "Na podstawie mojego 30-letniego doświadczenia uważam zakaz względem ojca do porozumiewania się z dzieckiem w języku polskim za całkowicie opaczny".

Kraszewski przedstawia wszystkie opinie przed sądem, ale ten nie bierze ich pod uwagę. Odwołanie zostaje odrzucone.

## **Nie było wolno mi pytać, jak się czuje**

- Tuż po wyroku, gdy zjawiłem się na spotkaniu z synem, kazano mi podpisać w Jugendamcie [Urząd ds. Młodzieży - przyp. aut.] oświadczenie, że nie będę z Filipem próbował rozmawiać po polsku. Nie podpisałem. Same spotkania były koszmarem. Normalnie tylko kryminaliści widują swe dzieci w obecności urzędników. Siadaliśmy przy stole, nie było wolno mi pytać syna, jak się czuje, czy wszystko u niego w porządku, bo to mogłoby spowodować u niego tzw. konflikt lojalności. Filip zawsze uwielbiał rysować, więc przynosiłem karton i kredki. Rysował mi, co czuje i że mnie kocha.

Spotkania z Filipem były coraz rzadsze. - Raz pracownicy Jugendamtu podczas wyznaczonego spotkania mieli urlop. Innym razem opiekun, który miał być świadkiem moich wizyt, zachorował lub Filipa na spotkania nie przyprawiała matka, mimo nakazującego jej

to wyroku sądowego - opowiada Kraszewski. I pokazuje notatki: - W 2000 roku widziałem Filipa przez 25 godzin, rok później już tylko cztery godziny, a w ubiegłym tylko trzy. Pisałem do różnych instytucji społecznych, do mediów, prosiłem o pomoc Kościoła. Nadaremnie.

"W pani osobie spodziewam się znaleźć kogoś, kto mógłby przyczynić się do udzielenia pomocy nie tylko mnie i mojemu synowi, ale także renomie Niemiec i ich sądownictwa wobec krajów ościennych" - tymi słowami zaczyna się list Kraszewskiego do Brigitte Zypries, minister sprawiedliwości Niemiec. - Opisałem całą historię, napisałem o zakazie rozmawiania z synem w moim ojczystym języku, o tym, że Filip żyje w panicznym lęku przed wypowiedzeniem choćby jednego słowa po polsku.

Odpowiedź z ministerstwa nadeszła po miesiącu. W imieniu pani minister odpisał niejaki dr Schomburg. "Zdaję sobie doskonale sprawę, jak uciążliwe będzie dla pana widzenie się z synem tylko w obecności osoby trzeciej i przy nałożeniu obowiązku zaniechania dwujęzycznego wychowywania go. Jednakże ze względu na nieubłagane wymogi prawne nie wolno mi udzielić panu konkretnych porad i w ogóle uczynić czegokolwiek w tej sprawie. Zgodnie z konstytucyjnym porządkiem prawnym RFN sądy są niezawisłe".

### **Biurokraci przeciw ojcom**

W grudniu 2002 roku, kilka dni po otrzymaniu przez Kraszewskiego odpowiedzi z ministerstwa sprawiedliwości, zapadł kolejny wyrok. Sąd okręgowy w Guetersloh zakazał mu definitywnie widzeń z synem, a opiekę rodzicielską nad dzieckiem przyznał wyłącznie Andrei. Sąd uzasadnił swoją decyzję tym, że Kraszewski "wrażał wobec syna wyrafinowane insynuacje, przez które dziecko popadło w konflikt lojalności wobec swojej matki". Obrząził pracowników Związku Ochrony Dziecka w Guetersloh i Bielefeld, był wobec nich agresywny, a nawet im groził. Tym samym - uznał sąd - widywanie syna nawet w obecności osób trzecich nie jest wskazane.

- Nikomu nie groziłem, mówiłem tylko, że nie chciałbym, by urzędnicy byli przy moich tak rzadkich spotkaniach z synem. Zarzucili mi, że nie chcę widywać Filipa w obecności urzędników. To prawda, nie chciałem, ale godziłem się na ich obecność, bo inaczej nie widywałem Filipa w ogóle - mówi Kraszewski.

Co ciekawe, w tym samym wyroku sąd przytoczył słowa Filipa, który "cieszyłby się z widzeń ze swoim ojcem", także w obecności osób trzecich.

Skąd ta niechęć Kraszewskiego do urzędników? - Urzędy ds. młodzieży czy Niemiecki Związek Ochrony Dziecka to świetnie opłacani przez państwo biurokraci - wyjaśnia. - Gdy tylko jakaś rodzina zjawi się u nich z prośbą o pomoc, już jej nie wypuszczą ze swoich rąk. Dla nich to sens istnienia, a dla wielu rodziców prawdziwa zhora.

Kraszewski zaczął w internecie szukać sprzymierzeńców, innych ojców-cudzoziemców pokrzywdzonych przez wyroki niemieckich sądów. W Niemczech działa kilkadziesiąt organizacji zrzeszających ojców, którym sądy rodzinne odebrały dzieci. Kraszewski przyłączył się do jednej z nich. Vateraufbruch Fur Kinder (VAFK) można przetłumaczyć jako "Pogoń ojców za swoimi dziećmi". VAFK ma w całych Niemczech ponad 150 lokalnych grup i punktów kontaktowych, skupia kilka tysięcy ojców - Niemców i cudzoziemców - którym po rozwodzie zakazano widywać się z dziećmi lub których dzieci zostały porwane przez niemieckie matki. - Protestujemy, organizujemy marsze w Berlinie i Brukseli, głodujemy. Ale nikt nas nie słucha - mówi Kraszewski.

## Stara nazistowska zasada germanizacyjna

We wrześniu 2002 roku Karin Jaeckel, niemiecka pisarka i publicystka, autorka wydanej trzy lata temu książki "Deutschland frißt seine Kinder" ("Niemcy porywają swoje dzieci"), wystosowała w obronie ojców-cudzoziemców list otwarty do kanclerza Gerharda Schroedera. Zaatakowała w nim niemiecki system prawny.

„Okazuje się, że Niemcy współczesne ze względu na swoje orzecznictwo rodzinne i politykę rodzinną już od dawna, i to masowo, identyfikowane są z III Rzeszą. (...) Powodem jest przede wszystkim prawna i nie powstrzymana przez elity polityczne, ale raczej popierana metodyka systematycznego wyłączenia jednego z rodziców z życia wspólnych dzieci po rozwodzie lub rozejściu się rodziców przy pomocy urzędów ds. młodzieży okrzykniętych jako »władze do kradzieży dzieci«. (...) Naruszenia praw człowieka wiodą do tego, że cudzoziemki i cudzoziemcy, którzy zakochali się w Niemce lub Niemcu i spłodzili wspólne dzieci, a więc ludzie, którzy wobec Niemców i Niemiec powinni być absolutnie otwarci, zaczęli nas dzisiaj zwalczać. (...) Ci rodzice nienawidzą powojennych Niemiec. I to nienawidzą dlatego, że zostały im zrabowane dzieci zgodnie ze starą nazistowską zasadą germanizacyjną”.

Piszę do Karin Jaeckel e-maila. Rozmawiamy o szokującym przywołaniu III Rzeszy w jej liście. - To nie są moje poglądy, tylko pokrzywdzonych ojców-cudzoziemców - zastrzega. - Oni, niestety, tak postrzegają współczesne Niemcy. Moim zdaniem przyczyną takiego stanu rzeczy nie są relikty nazizmu czy idei Lebensbornu, tylko przekonanie naszych sędziów, że dziecku musi być lepiej z matką - tłumaczy. - Takie decyzje sądów nie dotyczą tylko par mieszanych, ale również małżeństw niemieckich - zastrzega.

Okazuje się, że Karin Jaeckel sprawę Kraszewskiego zna doskonale: - Nie mogę pojąć, dlaczego sąd podjął taką skandaliczną decyzję.

Jej zdaniem problem niemieckich sądów to problem sędziów i organizacji młodzieżowych. - W sprawie wyroków naszych sądów rodzinnych dotyczących mieszanych małżeństw interweniowali już u Schroedera prezydenci Clinton i Chirac. Sądy muszą rozstrzygnąć kapitalne w prawie niemieckim pojęcie "dobra dziecka". Najgorsze jest to, że owo "dobro dziecka" nie jest nigdzie zdefiniowane i każdy sąd rozumie przez to, co chce. A większość sędziów w Niemczech, psychologów i urzędników ds. młodzieży uważa, że dziecku może być dobrze jedynie z matką Niemką, bo ojciec jest potrzebny tylko po to, by płacić - dodaje. - Mam nadzieję, że dożyję czasów, gdy to nastawienie się zmieni.

## Nic nie można zrobić

Podczas jednej z wizyt u rodziny w Polsce Kraszewski opowiedział o swoich kłopotach Ewie Goczek, konsulowi honorowemu RFN w Łodzi. Odwiedzam panią konsul, pokazuję wyroki. - Absolutnie nie chcę tej sprawy komentować, tak jak nie komentowałabym wyroków polskich sądów. Powiem tylko tyle, że sąd musiał mieć podstawy, skoro takie orzeczenie wydał. Jesteśmy w przededniu wstąpienia do Unii, taki artykuł mógłby zaszkodzić stosunkom Polski i Niemiec - ucina dyskusję Ewa Goczek.

Otto Jachimowicz, wicekonsul Rzeczypospolitej Polskiej w Kolonii: - Kraszewski interweniował u mnie wielokrotnie, a na jego sprawie połamało sobie zęby czterech adwokatów. To jest dla niego prawdziwa tragedia. Szanowany lekarz, który - mimo nieprzyjęcia obywatelstwa niemieckiego - osiągnął wysoką pozycję zawodową, a ma takie problemy. Jestem jego sprawą naprawdę poruszony, ale nic nie mogę zrobić - opowiada z przejęciem. - Większość podobnych dramatów rozgrywa się na odwrotnej płaszczyźnie - to matki z Polski, które wychodzą za mąż za Niemców, mają problemy z uzyskaniem władzy

rodzicielskiej nad swoimi dziećmi. Jest ona w takich przypadkach przyznawana najczęściej niemieckim ojcom. Patrząc na niemieckie orzecznictwo sądów rodzinnych preferujących matki, to paradoks. Z drugiej strony nie brakuje też takich spraw, gdy poszukujemy ukrywających się ojców Polaków, którzy swoimi dziećmi się nie interesują i nie łożą na ich utrzymanie. Pan Kraszewski jest nie pierwszą i zapewne nie ostatnią ofiarą mieszanego małżeństwa w Niemczech - podsumowuje Jachimowicz.

Mirosław Kraszewski wydał na procesy ponad 32 tys. marek. Tylko do 2001 roku, bo potem przestał liczyć. Zamierza ponownie przeprowadzić się do Guetersloh, by być bliżej Filipa. - Będę patrzył, jak idzie do szkoły, jak z niej wraca. Tego mi przecież jeszcze nie mogą zabronić, prawda? - pyta.